



Tekst i zdjęcia:
Marcin Hennig

PIERWSZY POLSKI „ŚNIEŻNYJ BARS”

Autor podczas zejścia ze szczytu Piku Pobiedy – po wejściu na ten szczyt został pierwszym Polakiem z tytułem „Śnieżnej Pantery”

Rosyjski tytuł „śnieżnyj bars” (Снежный барс) nadawany jest alpinistom, którzy zdobyli wszystkie pięć 7-tysięczników byłego ZSRR tj. Chan Tengri i Pik Pobiedy w Tien Szanie oraz Pik Niepodległości (Lenina), Pik Korżeniewskiej i Pik Samani (Kommunizma) w Pamirze. Obecnie szczyty te znajdują się na terytorium niezależnych państw: Kazachstanu, Kirgistanu i Tadżykistanu.

Pierwszym wspinaczem, który dokonał tego wyczynu, był w 1961 roku Jewgienij Iwanow, a tytuł „śnieżny bars” został po raz pierwszy użyty w 1967 roku. Nazwa została zapożyczona od kota występującego w górach środkowej Azji. Jego łacińska nazwa to *Uncia uncia*, angielska – snow leopard, polska śnieżna pantera/lampart lub irbis. Gatunek ten jest ginący i objęty I załącznikiem Konwencji Waszyngtońskiej oraz programem EEP. Zamieszkuje tereny położone na znacznych wysokościach, aż do granicy wiecznego śniegu, w lecie przebywając nawet na wysokości 6000 m. Połuje na kozły górskie, bharale, jelenie, nachury, piżmowce, bażanty, zające. Żyje samotnie. Prowadzi nocny tryb życia.

CHAN TENGRI – 7010 m n.p.m.

Z błędnego snu wyrывa mnie nagle uczucie chłodu na twarzy. Jeszcze przez moment nie wiem, gdzie jestem. Skrawek mojej twarzy, który pozostał na zewnątrz śpiwora, aby zachować dostęp do powietrza, jest skrzętnie zasypywany przez świeży zimny śnieg. Przez przymrużone powieki czuję jak kolejne rozpedzone drobinki śniegu uderzają w moje powieki. W głowie kołaczę myśl, czy aby na pewno muszę rozpiąć śpiwór, mój magazyn nagrzanego powietrza, aby powstrzymać wdzierający się do namiotu śnieg? Kolejny mocny podmuch wiatru nie pozostawia wyboru. Powoli rozsuwam zamek... Czując wdzierający się chłód do wnętrza, podsuwam się do zamka namiotu i po raz kolejny tej nocy zasuwam go na tyle, ile się da. Wiem, że czynność tę wykonam tej nocy jeszcze parokrotnie. Powodem jest taśma, która dla bezpieczeństwa łączy mnie z mocowaniem poręczówki. I dalej w sposób szeregowy śpiących obok mnie Gosię i Andrzeja. Ten nocleg jest bardzo niewygodny. Namiot przytulony do skały na wąskiej pochyłej półce i wicher, który nieustannie nim szarpię. A wszystko to na 6100 m n.p.m. w ostatnim obozie w drodze na szczyt Chan Tengri w Tien Szanie. Pod nami 2 tys. metrów pokonanej drogi po północnej stronie góry. Nasza wyprawa liczy 10 osób. A celem jest *Droga Solomotowa* z 1974 roku (rosyjska wycena 5B) uznawana za klasyczną po tej stronie góry.

Już samo dotarcie do bazy dostarczyło kilku przygód. Nasza podróż odbyła się przez Kazachstan i dalej do Karkary w Kirgizji. Tu rozbiliśmy się na pobliskiej polanie, nieświadomi, że w sąsiedztwie znajduje się lądowisko helikoptera Mi 8. Pierw-

szy start tej maszyny zakończył się odlotem jednego z namiotów i poszukiwaniem rzeczy po całej rozległej polanie. W końcu przyszedł nasz czas odlotu. Limit bezpłatnego bagażu sprawił, że pozostawione swobodnie kurtki nie były w stanie odlecieć przy podejściu helikoptera, a kielbasy schowane w nogawki spodni od tego czasu nosiły nazwę „piszczelówek”.

Baza położona na morenie lodowca Inylczek Płn. na wysokości 4100 m gwarantowała możliwość nieustannej obserwacji naszego celu i przebiegu drogi. Już następnego dnia po przybyciu do niej wyszliśmy do obozu I na wysokość 4600 m. Działamy dwójkami lub trójkami. Wychodzimy z wszystkim do góry z zamiarem wnoszenia coraz wyżej kolejnych depozytów i przenoszenia kolejnych obozów, aż do ataku na wierzchołek bez schodzenia do bazy. Wraz ze wzrostem wysokości zachodziła naturalna selekcja i kolejne obozy są coraz mniej liczne. Prawdziwym pierwszym testem okazała się wspinaczka pomiędzy jędynką, a dwójką. Tysiąc metrów przewyższenia w dość trudnym terenie przy zdobywaniu aklimatyzacji daje mocno w kość. Góra również nas nie rozpieszcza. Pogoda jest w kratkę, co nie pozwala

nam na ciągłą akcję górską. Wieczorna łączność między zespołami w poszczególnych obozach upływa na opowieściach o niespodziankach minionego dnia i planach na kolejne. W kontaktach tych przoduje kolega Soya, który co rusz parodiuje łączność, wtrącając fragmenty z komedii Barei.

Po wspięciu się na tzw. plecy Piku Czapajewa (ok. 6200 m) schodzimy na przełęcz, gdzie zakładamy obóz III na wys. 5900 m. To zazwyczaj ostatni obóz w drodze na wierzchołek. Poniżej przełęczy położony jest obóz III od strony południowej, gdzie można znaleźć wiele jam śnieżnych, które są iście królewskimi lodowymi komnatami powiększonymi z każdym rokiem. Tu oczekujemy odpowiedniego dnia do wykonania ataku szczytowego. Towarzysz nam piękne widoki zarówno na stronę północną, jak i południową z majestatycznym Pikiem Pobiedy. Pierwszy atak podejmuje 5 osób. Jednak z powodu bardzo silnego wiatru i skrajnie niskiej temperatury zdecydowałem się zawrócić po półgodzinnej wędrówce. Odwrót był trafną

decyzją, gdyż już po paru godzinach zauważyłem odmrożenie jednego z palców u ręki. Tego dnia szczyt udało się osiągnąć pozostałej czwórce: Kasi, Markowi, Adamowi i Pawłowi. Jeszcze tego samego dnia postanowiłem wraz z Gosią i Andrzejem przenieść obóz trzeci 200 metrów wyżej na skalną półkę. Dzięki temu mieliśmy za sobą dość długi odcinek pół śnieżnych. I tu zaczęła się moja opowieść...



Widok na wierzchołek Chan Tengri z obozu II (5600 m)

Droga do obozu I. W tle kopuła szczytowa Khan Tengri.



ŚNIEŻNYJ BARS – CHAN TENGRI



Chan Tengri – widok z przełęczy (5900 m). Po lewej Pik Czapajewa, na dalszym planie Pik Pobiedy.

Po ciężko przespanej nocy zbieramy się szybko do góry. Przeraził mnie zimno, mocno doskwiera. Staram się za wszelką cenę przywrócić czucie w palcach i nóg. Nie jest to łatwe. Po około godzinie wspinania orientuję się, że Gosi i Andrzeja nie widać. Czekam na nich, lecz chwila postoju powoduje ponowny brak czucia. Wspinam się sam, starając się przypomnieć sobie charakterystyczne miejsca zapamiętane w czasie wspinaczki przed dwoma laty. Tamta wyprawa od strony południowej była dla mnie dobrą szkołą wspinaczki i egzystencji w górach wysokich, i choć nie zakończyła się dla mnie pełnym sukcesem (wycofanie się z wysokości 6800 m) zaowocowała sukcesami w kolejnych ekspedycjach.

Na 6500 metrach już jestem pewny, że nikt więcej na szczyt się dziś nie wspinie. Mój odmrożony palec u ręki coraz bardziej utrudnia wspinaczkę. Doskwierają również wiejący wiatr i brak słońca. W pewnym momencie wydaje mi się, że jakieś 300 metrów poniżej widzę wspinającą się osobę. Widać, że jest ktoś jeszcze, dodaje mi siły. W kulminacji kuluaru ogrzewają mnie pierwsze promyki słońca. Jednak sylwetka wspinacza poniżej okazuje się efektem mojej wyobraźni. Na szczycie dość długo szukam trójnoga. Ostatecznie robię mu zdjęcie z moim czekaniem, potem jeszcze autoportret i po krótkim odpoczynku ruszam w dół. Niestety, pogoda nie jest dla mnie łaskawa i będąc na wierzchołku nie mogę delektować się widokami. Szkoda, że nie mogę podzielić się radością z sukcesu z kimś innym. Do obozu III docieram szczęśliwy i strasznie zmęczony. Obawiam się jednak o mój palec, który już ma na tyle dużego bąbla, że nie jest w stanie zmieścić w pięciopalczastych rękawicach. Do bazy dochodzę w dniu moich urodzin. Ostatecznie na szczycie staje ośmioro z dziesiątki uczestników.

PIK KORŻENIEWSKIEJ – 7105 m n.p.m.

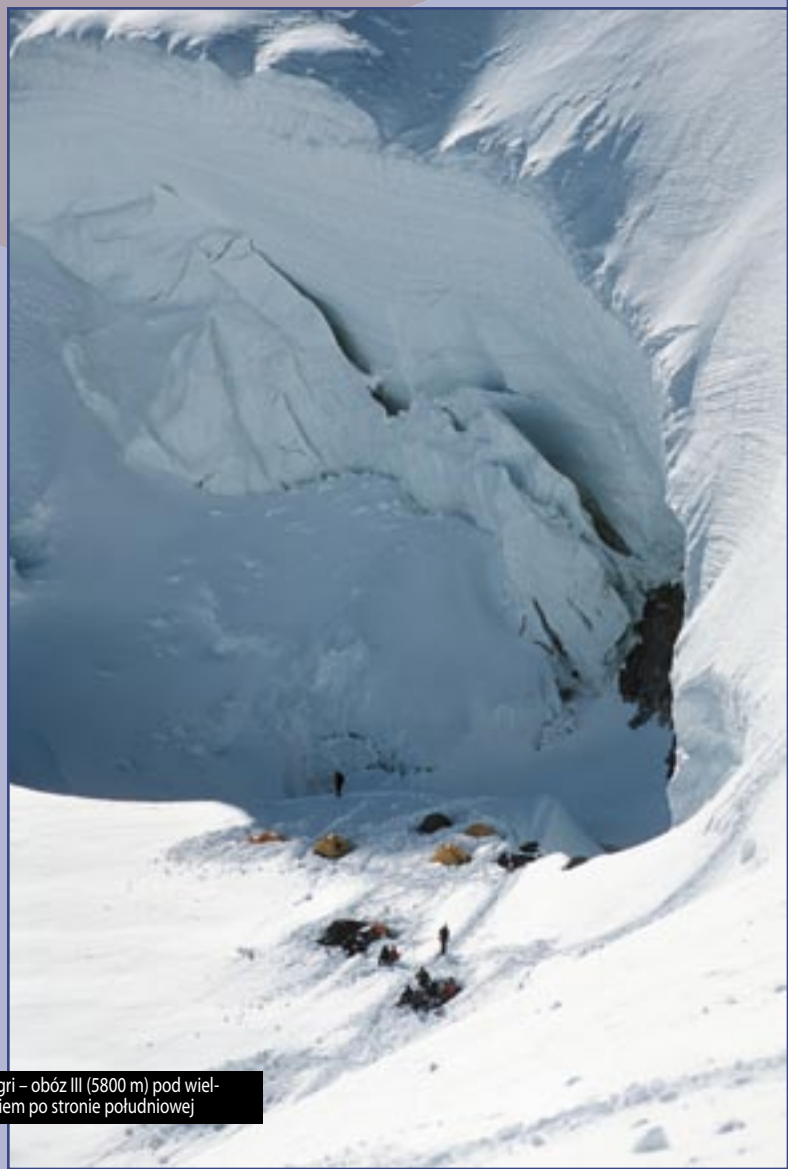
Już pod koniec 2003 roku pojawił się pomysł na wyjazd w Pamir Tadżycki z zamiarem zdobycia dwóch siedmiotysięczników – Piku Korżeniewskiej oraz Piku Samani (Kommunizma). Niestety, organizacja takiej wyprawy przerosła moje początkowe oczekiwania. Nie napawały optymizmem informacje na temat bezpieczeństwa w rejonie Tadżykistanu. Wiadomość z konsulatu rosyjskiego brzmiała: „Nie jedź tam, przysłał do domu twój palec z żądaniem okupu”. Dopiero w 2005 roku udało się dopiąć wszystkie formalności i zebrać skład.

Tadżykistan zaskoczył nas swoją orientalnością. To wynik zdecydowanie większych wpływów muzułmańskich niż w pozostałych republikach byłego ZSRR. 24-godzinną podróż uralem przez góry daje nam się mocno we znaki. To wszystko sprawia, że do bazy na lodowcu Moskwinie dolatujemy bardzo zmęczeni. Nie jest to bez znaczenia dla naszej aklimatyzacji. Kolejne dni w bazie położonej na wys. 4400 m spędzamy w dość kiepskim samopoczuciu. Sama baza robi na mnie duże wrażenie.

Jest tu budynek stołówek, traktor do transportu na lądowisko helikoptera, sauna, a także kajaki, na których można popływać na pobliskim jeziorze. Wszystko to znajduje się na morenie porośniętej zielonutką trawą. Wrażenia sielanki dopełniają pasące się kozy, barany i indyki, transportowane tutaj helikopterem.

Pierwszym celem naszej ośmioosobowej grupy jest Pik Korżeniewskiej (7105 m). Wspinaczka ta ma dostarczyć nam niezbędną aklimatyzację do akcji w stylu alpejskim na Pik Samani (7495 m). Odbywa się ona drogą Tsetlina z 1966 roku o rosyjskiej wycenie 5A (uważana za klasyczną).

Droga, klucząca w pierwszej jej części, przysparza drobnych problemów z jej wynajdowaniem. Ponownie obieramy styl wychodzenia ze wszystkim i wynoszenia kolejnych depozytów coraz wyżej, bez schodzenia do bazy. Ostatecznie po założeniu



Chan Tengri – obóz III (5800 m) pod wielkim serakiem po stronie południowej

ŚNIEŻNYJ BARS – PIK KORŻENIEWSKIEJ



Pik Korżeniewskiej. Widok z obozu I (5300 m) z Piku Samani

trzech obozów na wysokości odpowiednio 5100, 5800 i 6400 m, mamy drogę otwartą na szczyt. Do obozu III docieram wraz z Adamem wcześniej niż to było w planach. Jesteśmy tu w tym roku pierwsi. Reszta ekipy znajduje się w obozach poniżej. Wspinaczka tutaj kosztowała nas wiele sił. W połowie drogi zaskoczyła nas zawieja śnieżna, która w kilka minut rozhułała się na tyle, że w mojej głowie kołatała jedynie myśl o przetrwaniu. Jednak rzeźba terenu nie pozwala na rozbięcie namiotu po drodze, a planowane miejsce obozu było zbyt blisko, aby myśleć o odwrocie. Dopiero, kiedy ułożyłem się w śpiworze i przełknąłem pierwsze kęsy przygotowanego pożywienia, pamięć o stoczonych walce ustępuje radości z naleźycie spożytkowanego dnia. Całą noc wiatr szarpie naszym namiotem, co utwierdza nas w przekonaniu, że jutro – zgodnie z planem – robimy dzień restu w celu złapania lepszej aklimatyzacji przed kolejnym celem. Jednak poranek napawa nas wątpliwościami co do słuszności tej decyzji. Wiatr znacznie osłabł, coraz częściej na niebie pojawiają się błękitne okna, a grupa Uzbeków, Rosjan i Czechów, która także dotarła tu wczoraj, szykuje się do wyjścia do góry. Ostatecznie postanawiamy sprawę dzisiejszego wyjścia pozostawić losowi. Rzucamy monetą, orzeł to atak, reszka to rest. Wypada reszka. Trochę z żalem kładziemy się ponownie spać. Z grupy, która dzisiaj zaatakowała wierzchołek osiągnęła go jedynie połowa. Po powrocie narzekają na silny wiatr na grani, który wraz ze znaczną ekspozycją mocno utrudnia wspinaczkę. Kolejny dzień należy do naszej dwójki. Droga do szczytu to zmaganie się z kolejnymi żandarmami. Pogoda jest lepsza niż wczoraj, chociaż nadal mocno wieje. Na grani szczytowej na tyle mocno, że wichry powala nas na cztery kończyny. Na szczyt docieramy po 4,5 godzinach wspinaczki. Tego dnia tylko nasza dwójka działa powyżej obozu III. Schodząc, docieramy do obozu II, dzięki czemu pozostawiamy namiot w obozie wyżej kolejnym osobom z naszej grupy.

W bazie oczekujemy na resztę ekipy. Wieczorna łączność dostarcza nam kolejnych dobrych wiadomości o sukcesie naszych kolegów i koleżanek. Ostatecznie wszystkim udaje się stanąć na wierzchołku i szczęśliwie powrócić do bazy.

Dla mnie to dopiero wstęp do głównego celu tej wyprawy. Nie wszyscy jednak decydują się na wspinaczkę na Pik Samani.



Pik Korżeniewskiej – obóz III (6400 m)



Pik Korżeniewskiej – autor na szczycie

ŚNIEŻNYJ BARS – PIK SAMANI



Pik Samani – widok z baza nad jeziorkiem

PIK SAMANI (KOMMUNIZMA) – 7495 m n.p.m.

Żebro Borodkina – klucz do góry

Już popołudniu zaczyna padać gęsty śnieg. Namiot ustawiony na polu śnieżnym na zwieńczeniu skalnej piramidy, pod osłoną z góry w formie seraków, wymaga nieustannego odkopywania. Jutro mam zamiar wraz z Adamem wspiąć się na zwieńczenie żebra Borodkina i zejść na Pamirskie Plato. Jesteśmy na wysokości 5300 m. Przy wieczornej toalecie słyszę włączający się agregat w bazie, tysiąc metrów poniżej. Pewnie piją piwo. Pogoda nie napawa optymizmem. Niestety, wygląda to coraz gorzej. Czujemy się jak na lotnisku, gdzie z zegarmistrzowską precyzją startują lub lądują kolejne samoloty. Tylko, że tutaj zamiast samolotów pojawiają się schodzące lawiny. Na szczęście ostrze żebra niczym kontroler ruchu lotniczego roz-

dziela je na prawo lub lewo. Kiedy naprawdę przechodzi bardzo blisko nas coś dużego, rozbrzmiewa krótkofalówka z zapytaniem, czy jeszcze jesteśmy. Tej nocy śpimy niespokojnie. Kilkakrotnie widzę ciemną sylwetkę siedzącego Adama i nie mogącego zasnąć. Mnie jakoś przychodzi to łatwiej. Chyba bardziej do tego podchodzę na zasadzie: co będzie to będzie i tak nie mam na to wpływu. Rano nie przynosi jednak poprawy pogody. Chcemy jednak spróbować wyjść wyżej. Tymczasem z obozu położonego 200 metrów niżej wyrusza do nas Wojtek i prosi przez radio, abyśmy na niego poczekali. Dociera do nas po paru godzinach i już wiemy, że dzisiaj nigdzie wyżej nie pójdziemy. Ten dzień to moje urodziny. Gotuję galaretkę i świętujemy we trójkę. Następnego dnia podejmujemy próbę przedarcia się wyżej. Ale przetorowanie 150 metrów w pionie zajmuje nam 3 godziny. Śniegu jest po pas i bardzo lawiniasto, co mocno osłabia naszą i tak już kiepską w tym momencie psychę. W końcu data, 13 dzień miesiąca, przechyla szalę i decydujemy się na odwrót.

Po dniu odpoczynku w bazie ruszamy ponownie do góry. Pogoda przez ten czas była na tyle dobra, że śnieg powinien być bardziej stabilny. Jednego dnia, pomni ostatniej pułapki, przechodzimy większość żebra (1500 m) i zakładamy biwak pod ostatnią barierą seraków na wysokości 5900 m. Dzięki temu następnego dnia, w dużo gorszej pogodzie, po 2 godzinach wspinania stajemy na zwieńczeniu żebra na wysokości 6200 m.

Pamirskie Plato – druga baza

300 metrów niżej na olbrzymim Pamirskim Plato położony jest obóz III. To unikalne na skalę światową wypłaszczenie dzieli wspinaczkę na Pik Samani na dwa etapy. Tu czuję się tak jakbym ponownie był w bazie, tylko półtora kilometra wyżej. Wspinaczka przez Pik Dushanbe w kierunku naszego celu nie nastęrcza większych kło-





Serak na Żębrze Borodkina

potów. Jedynie wiatr wciąż nie ustępuje, co mocno spowalnia nasz ruch do góry. Ostatecznie po noclegach na 6600 metrach i na przełęczy 6900 metrów atakujemy wierzchołek. Jak cię idzie za nami czwórka Katalończyków, którzy dochodząc nas na postojach, mówią jedynie „very good” i z uśmiechem siadają obok, czekając, aż ruszymy dalej, wyznaczając im drogę. Na szczyt docieramy przy dość dobrej pogodzie. Stajemy na nim we trójkę: Adam, Wojtek i ja. Radość jest ogromna, szczególnie że jesteśmy tu pierwszymi Polakami po 15 latach przerwy. Ze szczytu próbujemy wypatrzeć K2, które, według literatury, przy dobrej pogodzie jest widoczne na południowym wschodzie. Jednak nieliczne chmury nie pozwalają na to.

Do bazy wracam bardzo zmęczony, ale szczęśliwy. Udaje mi się być w gronie kilkunastu osób w tym roku, którzy zdobyli wierzchołek tego pamińskiego giganta.

Na szczycie Piku Samani wraz z Adamem Ciucką



ŚNIEŻNYJ BARS – PIK NIEPODLEGŁOŚCI



Pik Lenina – widok z Ługowej Polany w kierunku Piku Lenina. Na pierwszym planie tradycyjna jurta.

PIK NIEPODLEGŁOŚCI (LENINA) – 7134 m n.p.m.

Dopiero teraz pojawiła się myśl o zdobyciu całej piątki 7-tysięczników, dających tytuł „śnieżnyj bars”. Ale nawet wizja zrobienia tego po raz pierwszy przez Polaka, nie była dla mnie na tyle silna, aby pokonać chęć poznania innych rejonów górskich, w szczególności Karakorum, o którym myślałem od wielu lat. Jednak los potoczył się inaczej. Organizowana wyprawa na 8-tysięcznik w Karakorum ze względów finansowych nie doszła do skutku. Tak więc wróciłem myślami do Tien Szanu i Pamiru. Wiedziałem, że wspinaczka na Pik Pobjedy w małym zespole lub samotnie, ma dużo większe szanse powodzenia, gdy będzie prowadzona w stylu alpejskim, po uprzedniej aklimatyzacji. Z tego też względu idealnym dla mnie rozwiązaniem była wcześniejsza działalność na Piku Lenina w Pamirze. Dodatkowym argumentem był fakt, że szczyty te dostępne są na terenie tego samego państwa – Kirgistanu, co ułatwiało sprawy organizacyjne. Ciężko jednak było na taką wyprawę znaleźć kompania. Ostatecznie wyruszyłem jedynie z Jankiem.

Wysokogórski trekking

Jest jeszcze ciemno. Skupiam się tylko na drodze oświetlonej światłem czołówki. Staram się nie myśleć o długości drogi, która jest przede mną. Zmrożony śnieg wygląda niczym zorana przez pędzące stado bizonów ziemia. A to jedynie ślady osób schodzących wczoraj z góry. Nie pokrywają się, bo każdy z nich starał się iść innym śladem, aby jak najmniej zapaść się w śnieżnej brei, stworzonej przez palące słońce. Zaczyna mi pulsować w głowie. Sasza, z którym się związałem liną, narzucił swoje tempo. Przechodząc przez kolejne szczeliny nawet nie mam czasu pomyśleć, czy aby przechodzę je w dobrym miejscu. Dopinguję się myślą, że za kolejnym mocnym podejściem zrobimy postój. W taki sposób, oszukując się, przechodzę kolejną godzinę. W końcu, kiedy mam wrażenie, że moje płuca nie mogą się już zmieścić na swoim miejscu i podchodzą mi aż do gardła, stanowczo odmawiam wykonania kolejnego kroku i wołam: rest! Oparty na kijach staram się doprowadzić oddech do normy, którą dawno przekroczyłem. Sasza spogląda tylko z uśmiechem i woła: „nu dawaj”. On trenuje tu pod kątem zawodów szybkościowych w wejściu na Elbrus, które odbędą się za dwa miesiące. Już

po powrocie dowiaduję się, że zajął w nich drugie miejsce, ustępując jedynie samemu Denisowi Urubko.

Wyprawa na Pik Lenina już od samego początku napotykała na liczne trudności. Najpierw brak bagaży po przylocie do Biszkeku. Dopóki więc nie zakupiłem ruskich trampek na bazarze byłem skazany na paradowanie w 30-stopniowym upale w butach Milleta. Ostatecznie musieliśmy czekać 4 dni. Transport w kierunku Osz i do bazy na polanie Achik – Tasz to lecąca na pełen regulator kirgiska muzyka ludowa, bagaż przelatujący nad głową i liczne siniaki od uderzeń w dach. W końcu podejście do obozu I na wysokość 4400 metrów ze strasznie ciężkim worem. Po którym całkiem mnie wybrało. Zbyt duży wysiłek i wysokość zrobiły swoje. Ale tak to jest, gdy chce się nadrobić stracone dni.

Obrona przez nas droga to tzw. klasyczna Kowalewa z 1954 roku o rosyjskiej wycenie 5A. Oczywiście na Piku Lenina ludu co niemiara. I już teraz wiem: nienawidzę trekkingów! Tu się o tym przekonałem. Ta góra to totalny wysokościowy trekking. Dodatkowo, od momentu przyjazdu do założenia obozu III na 6100 metrów była totalna lampa. Wychodziłem o 5.00 rano żeby zdążyć przed strasznie palącym słońcem, które w dzień nawet w osłoniętym namiocie doprowadzało do szału, niczym na Costa Brava!

Kiedy jednak taka pogoda była potrzebna do ataku szczytowego, to się załamała. I w ten sposób znowu trzeba było czekać... Siedzieć beczynnie. A prognoza brzmiała: lokalne zachmurzenie. W końcu nie wytrzymałem i wróciłem do bazy, aby choć trochę się ruszyć. Bo przy takim siedzeniu jedyną dyscypliną dopingującą do szybszych ruchów był bieg do toalety. A przegrane czasem były o mały włos.

Na dole poznałem ekipę z Krasnojarska, no i jadłem z nimi zupę z wiadra, sałatkę poprawianą stopą, gdy wysypywała się z pełnej miski. Jednym słowem pełna integracja. Dodam tylko, że mówię w pierwszej osobie i liczbie pojedynczej, gdyż moje i Janka drogi rozeszły się. W każdym razie, jak tylko zauważyłem, że jest szansa na przejaśnienie, od razu wyrwałem pełen nadziei do góry. Następnego dnia doszedłem do obozu III na 6100 (robiąc w jeden dzień 1700 metrów przewyższenia, oczywiście już w pełnym słońcu), skąd zaatakowałem szczyt. W czasie ataku tylko początkowo było zimno z powodu silnego wiatru, jednak z czasem zrobiła się total-



Widok z obozu VI (7000 m) na kopułę szczytową Piku Pobiedy przy szalejącej wichurze

na lampę i pogoda była wyśmienita. Ostatecznie po około 7,5 godzinach wędrowki stanąłem na wierzchołku Piku Lenina (7134 m). Widok ze szczytu ładny :, mimo to niezbyt mi się podobało. Szczyt jakiś taki niewyraźny.

Zabawne, ale dopiero po powrocie dowiedziałem się, że od tego roku nosi on nazwę Piku Niepodległości.

PIK POBIEDY (JENGISH CHOKUSU) – 7439 m n.p.m.

Po zejściu w doliny trochę wahałem się, co dalej robić. Mój partner zrezygnował z kolejnego celu. Wizja samotnej wspinaczki na Pik Pobiedy nie uśmiechała mi się. Dużą rolę w podjęciu decyzji odegrali napotkani przeze mnie w trakcie pobytu pod Pikiem Lenina ludzie. Szczególnie tamtejsi „mastery sporta”, z którymi to przy poprawianiu trawienia odpowiednimi napojami rozmawialiśmy o górach i ludziach w górach. Dodatkowo nie miałem namiotu na dalszą wspinaczkę. Ostatecznie zdecydowałem się i pojechałem w Tien Szan z pożyczonym czeskim namiotem „Beskid”.

W Tien Szanie poczułem się jak w domu. Znacznie mniej ludzi, ostre i strzeliste góry i temperatury znacznie niższe. Od razu zrobiłem rozpoznanie u kierownika bazy Dimy o dotychczasowych postępach wspinaczy na Piku Pobiedy. Okazało się, że w tym roku nikomu nie udało się dojść do grani pomiędzy Pobiedą Zachodnią (Ważą) a głównym wierzchołkiem. Główna tegoroczna siła uderzeniowa na ten szczyt – 15 osób z Rosji, Uzbekistanu i Czech – znajdowała się na przełęczy Diki w obozie II na wysokości 5100 metrów i podejmowała próby przebicia się w lawiniastym terenie wyżej.

Pogoń

W bazie brak chętnych na wyruszenie na tą górę. Nie ma więc na co czekać, lecz szybko gnać do góry, aby mieć szansę na dołączenie do kogoś. Następnego dnia wychodzę z bazy przez lodowca Zwiedoczka w kierunku obozu I – 4400 m. Zabieram żywność na 10 dni akcji. Napotkani wspinacze patrzą na mnie z niedowierzaniem, że idę samotnie na Pik Pobiedy. Widzę przerażenie w ich oczach i dokładnie lustrując wzrok. Jeden z nich po chwili zadumy stwierdza: „Každy ma górę sobie prze-

znaczoną”. Ciarki przechodzą mi po plecach, kiedy słyszę te słowa. Ale nie mógłbym po powrocie spojrzeć w lustro, gdybym choć nie spróbował.

Po przejściu lodowca następnego dnia o świcie pokonuję groźne seraki i docieram do przełęczy Diki. Tu zostawiam depozyt żywnościowy na zejście i ruszam wyżej, docierając tego samego dnia do jam śnieżnych na 5700 metrów. Ten dzień był dość specyficzny, nie dość, że pokonałem samotnie 1300 metrów przewyższenia w terenie o dużym zagrożeniu, to dodatkowo przyszło mi spędzać moje okrągłe 30-ste urodziny w dziurze w śniegu ☺ W najbardziej niesamowitych wyobrażeniach nie myślałem, że ten dzień będzie tak wyglądać. W każdym razie uczciłem go porcją galaretki i kawałkiem czekolady. Na wysokości 6400 metrów, miejsce obozu IV, docieram w ciężkich warunkach pogodowych. Spotyka mnie tu niespodzianka. Trzy rozstawione namioty. Zła pogoda powstrzymała Rosjan i resztę od wyjścia wyżej. Wreszcie można z kimś, oprócz samego siebie, porozmawiać. Tak więc tej nocy zasypiam spokojniejszy, że nie jestem tutaj tylko ja.

Poranek jest słoneczny, ale wietrzny. Zwlekam troszkę z wyjściem, aż się ociepli. W końcu wychodzę jakąś godzinę za moimi sąsiadami. Tu już wysokość i pogoda dają mi się we znaki. Jest bardzo zimno, a przy tym niesiony przez wiatr śnieg ostro smaga po twarzy. Na wysokości około 6500 metrów niespodziewanie obrywa się stópień pod nogą. Staram się jeszcze złapać równowagę, jednak ciężki wór robi swoje i przeważa mnie do tyłu. Lecę głową w dół. Wpadam na chwilę wcześniej przechodzone firnowe pole. Nabieram coraz większej prędkości. Staram się przekreślić na brzuch, aby zacząć hamować czekaniem. Jednak, kiedy prawie mi się to udaje, wałę ostro w wystający kamień. W tym momencie już całkowicie nie kontroluję swojego spadku. Kolejno uderzam w wystające skały. Obraca mnie w różnych kierunkach. W głowie tylko jedna myśl, czy się zatrzymam? Mam perspektywę dwukilometrowego lotu. W końcu, tak nagle jak to się zaczęło, tak samo nagle kolejne uderzenie w skałę na tyle mnie wyhamowuje, że zatrzymuję się całkowicie. Niestety, właściwie pół leżę, pół wiszę głową w dół, opierając się na plecaku, który przy próbach oswo-bodzenia obsuwa się stopniowo niżej. Adrenalina pulsuje. Nawet nie wiem, ile to trwa. Plecak zapinką piersiową coraz bardziej wbija się w szyję. W końcu udaje mi się go odpiąć na tyle delikatnie, że powstrzymuję go od dalszego spadku. Powoli do-



Obóz VI na grani (7000 m). Widok na namioty Rosjan, Uzbeków i Czechów.

chodzę do siebie. Chorobliwie łapię powietrze. Oceniam straty. Pierwsze – dziwny posmak w ustach, to krwawiący przygryziony język i przecięta warga. Dodatkowo rozbite gogle i zdarty nos oraz porwany kaptur od puchówki. Reszta to ogólne potłuczenia. Długo siedzę i odpoczywam, w końcu jednak wyruszam dalej do góry.

Pogoda psuje się coraz bardziej. Widoczność spada do jakichś 20 metrów. Ślady w dużej części kompletnie są zawiane. Wiem jednak, że cel nie może być daleko. Przy chwilowych przejaśnieniach widzę linię grani, jakieś 100 metrów nade mną. Ostatecznie wchodzę na nią i wypatruję miejsca na biwak. Jestem w okolicach wierzchołka Pobjedy Zachodniej. Udaję się dalej granią w kierunku wierzchołka głównego i w miejscu małego obniżenia zastaję namioty Rosjan i rozbijających właśnie namiot Czechów. Szybko robię to samo. Bardzo zmęczony zasypiam z myślą, że jutro, jeśli pogoda pozwoli, przeniosę się pod obelisk do obozu VI lub zaatakuję stąd szczyt.

Grań – lekcja cierpliwości

Huk, wycie wiatru i wszędzie wdzierający się śnieg. To obraz tej nocy. Chyba dobrze, że jestem tak zmęczony, przynajmniej większość nocy przesypiam. Czasami wiatr jest tak silny, że zastanawiam się, czy mój namiot to wytrzyma. Dzień wygląda podobnie. Jedynym zajęciem, będącym w tych warunkach syzyfową pracą, jest cykliczne odkopywanie zasypywanego namiotu i poprawianie naciągów. Odwiedzam namiot Rosjan i Uzbeków. Okazuje się, że to całkiem mocna „kamanda”. Jest tu Ilias Tukhwatullin oraz Paweł Szabaline, zdobywcy północnej ściany Everestu. Widzieli mój lot z poprzedniego dnia i żartobliwie nazywają mnie „kamikadze”.

Pogoda nie napawa optymizmem. Nadrabiam zaległości w notatkach i rozmyślam o wszystkim, co mi tylko do głowy przyjdzie. Spędzam tak już drugi dzień. Około południa troszkę się przejaśnia i wiatr słabnie. O 14 decyduję wraz z sąsiadami, że idziemy pod obelisk. Część z ekipy „rosyjskiej” schodzi w dół, reszta idzie dalej. Udaje mi się zebrać pół godziny po nich. Toczę walkę z wiatrem o złożenie namiotu. Leżąc na nim i starając się go wepchnąć pod siebie, krzyczę o pomoc do Rosjanina stojącego 5 metrów ode mnie. Jednak moje krzyki są skutecznie zabijane przez wiatr. Ostatecznie udaje mi się samemu poradzić z tym wyzwaniem. Prze-

ście grani to łapanie chwil przejaśnień, pozwalających wypatrzeć dalszą drogę. Chwilami wieje tak mocno, że staram się przeczekiwać te okresy, siedząc skulony. W głębszym śniegu udaje mi się natopkać resztki śladów moich sąsiadów. Ostatecznie do siodła pod obeliskiem dochodzę po 4,5 godzinach błąkania się po grani. Rosjanie i Uzbeki rozbili się wcześniej, jakieś 50 metrów nade mną. Wybrali to miejsce nie wiedząc, że poniżej jest siodło. Wydaje się, że pogoda ma zamiar się poprawić. Czasami wylania się zza chmur wierzchołek. Czasi przychodzą do obozu, gdy jest już zupełnie ciemno. Kładę się spać z myślą, że jutro spróbuję zaatakować szczyt.

Jednak w nocy pogoda ponownie się pogarsza i nie daje szans na poranne wyjście. Wiatr jest tak silny, że zastanawiam się, czy mnie nie zwieje z grani razem z namiotem. Wyjścia do toalety są prawdziwą wyprawą. Przy cięższych sprawach

zaczynam się zastanawiać, czy nie wydzielić miejsca w namiocie. Ostatecznie kończy się peelingiem tyłka na wietrze i masą śniegu w portkach. Widoczność spada do około 10 metrów. Czuję się całkowicie sam. Po południu decyduję się na wyprawę do sąsiadów, jeśli nadal tam są, bo nie ma szans w takiej pogodzie, aby zobaczyć ich namioty. Okazuje się, że również czekają. Mają strasznie ciasno w namiocie, ale wesoło. Gdy jeden z nich chce wyprostować nogę, to dwóch innych musi się ruszyć. Zaczynamy dyskusję o tym, co robić dalej. Zdania są podzielone. Jedni uważają, że jak tylko pogoda pozwoli, to chcą schodzić na dół. Dziwne, ale aż do tej pory nawet mi do głowy nie przyszło, aby schodzić bez próby ataku. Jedyne dwóch Uzbeków jest zdania, że warto spróbować zaatakować szczyt niezależnie od pory dnia, jeśli tylko pogoda da cię szansy na powodzenie. Zgadzam się z nimi. Ostatecznie Szabaline pokazuje swoje ręce z częściowo poobcinanymi palcami i mówi, że nikt mu nie zagwarantuje przynajmniej 8 godzin dobrej pogody, a tyle jest minimum potrzebne na wejście i powrót ze szczytu, i gdy tylko pogoda na to pozwoli, to schodzi na dół. Nie chce stracić tutaj reszty palców. Chce jeszcze powspinać się na innych górach. Czasi nie odzywają się wcale, jedynie kaszel pozwala nam stwierdzić, że nadal żyją.

Wracam do namiotu z myślą, że niezależnie od sąsiadów, jeśli pogoda na to pozwoli, spróbuję zaatakować szczyt. Kolejny rano wygląda tak jak dzień poprzedni. Około 10 wychodzę z namiotu, pogoda jest coraz lepsza. Chwilami widać szczyt Pobjedy. Zbieram się do wyjścia. Kiedy przypinam raki z namiotu ekipy ze wschodu wychodzą 2 osoby i zaczynają się przy nim krzątać. Po chwili już wiem, że też wybierają się na szczyt. Proponują, abym się z nimi związał. Zgadzam się bez wahania. Reszta ekipy schodzi w dół.

Droga na szczyt

Wspinaczka odbywa się przez strome pola śnieżnolodowe, uskoki skalne i dalej ostrzem grani, która miejscami jest całkowicie lodowa, do pół śnieżnych. Te pola ciągną się w nieskończoność, bez wyraźnego spiętrzenia. W końcu po mniej więcej godzinie dreptania, wydawałoby się po prawie równym terenie, docieramy do kamienia wyznaczającego wierzchołek. Całkiem się przejaśniło. Widoki niesamowite. Cały Tien Szan u naszych stóp. Wspólne zdjęcia i gratulacje.

Widok z obozu IV (6400 m) na kopułę szczytową Khan Tengri





Obóz VI (7000 m) – wizyta w namiocie Rosjan i Uzbeków, w trakcie załamania pogody



Na szczycie Piku Pobiedy wraz z wspinaczem z Uzbekistanu. W tle Chiny i lodowiec Temirsu.

Warto było tyle czekać, aby teraz w słońcu móc się delektować nieograniczoną przestrzenią i radością z osiągniętego celu. Do końca nie mogę uwierzyć, że tu jestem. Zostawiam na szczycie niemieckie ogrzewacze chemiczne do rąk, tak dla udokumentowania swojej obecności. A może przydadzą się komuś?

W trakcie schodzenia pogoda, niestety, psuje się. Zaczyna wiać od strony kirgiskiej, przeciwnej niż do tej pory. Po chwili wieje już na tyle, że praktycznie nic nie widać, a zawiewany śnieg bombarduje nagie skrawki skóry. Na stromym ostrzu grani zaczynamy asekurować się na sztywno. Kilka wyciągów schodzę z praktycznie zamkniętymi oczami, prawie na kolanach, osuwając się tyłem coraz niżej. Z twarzy zrywam bryły zamrożonego śniegu, który na trwałe wymodelował mi maskę. Właściwie nos i usta są połączone jedną bryłą lodu. Na szczęście po przejściu najbardziej stromego odcinka obniżamy się bardziej na stronę chińską, uciekając przed dokuczliwym wiatrem. Czuję jednak, że palce u rąk mocno dostały w kość na tym wietrze. Do namiotu dochodzę mocno wyczerpany, ale szczęśliwy. Jak bardzo szczęśliwy! Po wejściu do namiotu leżę kilkanaście minut, delektując się bezruczem i satysfakcją z osiągniętego celu. To chyba najpiękniejsza noc, jaką spędziłem na tej górze. Niebo przejaśniło się zupełnie i można podziwiać bezkres gwiazd na widnokręgu. I to spełnienie, że zrobiło się coś, co kosztowało tyle trudu... Zасыpiam z myślą, że jutro zacząć schodzić. To już moja piąta doba na 7 tysiącach metrów.

Droga do bazy

Ranek jest przepiękny. To chyba „dzień sezonu”. Piękne słońce, bezwietrznie i brak jakichkolwiek chmur. Składam namiot w samym polarze. Przejście grani w taką pogodę to prawdziwa przyjemność. To chyba nagroda od góry za ten cały

trud. Jednak staram się wciąż być skupionym. Co rusz muszę przechodzić jakieś odcinki trawersujące strome lodowe zbocze lub po kirgiskiej stronie ogromne nawisy. Dopiero teraz widać jak eksponowanym terenem wiedzie droga na drugą stronę grani. Tego dnia schodzę do obozu IV na 6400 metrach. Moi byli sąsiedzi obóz niżej. Przy pieczarach na 5700 spotykam grupę Jury Ermachek. Kiedy oznajmiam, że jestem pierwszym polskim „śnieżnym barsem”, dostaję na pamiątkę proporczyk klubu wysokogórskiego spod Uralu z Magnitogorska. Czuję się naprawdę wyróżniony, gdyż wydaje mi się, że nieśli go, aby zostawić na szczycie.

Na przełęczy Diki przez około godzinę szukam zastawionego przeze mnie depozytu żywnościowego. A śniegu jest co nie miara. Jednak cierpliwość się opłaciła i już po królewsku najedzony zasypiam w namiocie, przy padającym obficie śniegu.

Gdy pakuję się do przejścia splekanego lodowca pod północną ścianą schodzi przez moją drogę zejścia lawina. Dobrze, że teraz, a nie za jakąś godzinę. Lodowiec po świeżym opadzie śniegu to istna ruletka. Mostki śnieżne z rozmiękłego śniegu i ogromne szczeliny działają wręcz paraliżująco. Ile razy przechodząc takie miejsca, odmawiałem „zdrowaśki”. W pewnym momencie zastanawiałem się nawet, czy przeszedłem przez to wszystko, aby teraz zabić się w szczelinie? W końcu jednak przechodzę spiętrzenie seraków i dochodzę do miejsca obozu I. Niby już jestem na dole, ale pozostało jeszcze do przejścia 11 km bardzo popękanym lodowcem do bazy. Docieram tam popołudniu. Dima z uśmiechem mocno ścisła mi dłoń, witając jak swego. Niestety, zapasy wody ognistej zostały wyczerpane przez moich sąsiadów z grani.

Następnego dnia zostawiam depozyt na transport śmigłowcem, a sam udaję się trzydniowym trekkiem w dół. Do cywilizacji.

Widok ze szczytu na stronę chińską w kierunku pustyni Takla Makan, poniżej lodowiec Temirsu



SZCZYTY ŚNIEŻNEGO BARSA

INFORMACJE PRAKTYCZNE



Kirgistan (dane z 2006 roku)

- transport: samolot Warszawa – Biszkek; najtaniej przez Moskwę lub Stambuł, około 2300 PLN. Linie lotnicze Pulkovo, Aeroflot, Turkich Airlines
- waluta: SOM, 1 USD = 38,4 somów (KGS)
- brak opłat wizowych do 90 dni pobytu
- OVIR: opłata za 30 dni, około 200 somów / 5 USD
- opłata za działalność górską w strefie przygranicznej: border permit 10 USD.

Kazachstan (dane z 2004 roku)

- transport: samolot Warszawa – Almata; najtaniej przez Petersburg, Moskwę lub Stambuł. Linie lotnicze Pulkovo, Aeroflot, Turkich Airlines
- waluta: Tengi, 1 USD = 124 Tengi (KZT)
- wiza: koniecznie dwukrotnego wjazdu, koszt 45 USD – do uzyskania w ambasadzie w Warszawie
- zaproszenie od agencji niezbędne do otrzymania wizy: 10 USD
- OVIR: 8 USD
- opłata za działalność górską w strefie przygranicznej: border permit 5 USD.

Tadżykistan (dane z 2005 roku)

- transport: samolot Warszawa – Duszanbe, przez Petersburg lub Moskwę. Linie lotnicze Pulkovo lub Tajik Air
- waluta: Somoni, 1USD = 3,21 Somoni (TJS)
- wiza: do uzyskania w konsulacie w Berlinie www.botschaft-tadschikistan.de lub Mińsku, koszt w Berlinie: do 30 dni - 50 euro, do 90 dni - 70 euro, ekspres 1 dzień
- cena podwójna (nie są wymagane zaproszenia do wiz, jeśli posiadamy jakiś dokument z Klubu Wysokogórskiego, potwierdzający wyprawę)
- OVIR: 25 USD.



Chan Tengri i Pik Pobiedy

Najlepszy termin: od połowy lipca do końca sierpnia.
Dojazd z Kazachstanu: Almaata – Karkara: bus, 25 USD.
Dojazd z Kirgistanu: Biszek – Karakol – transport lokalny lub bus, 300 somów; Karakol – Karkara – transport lokalny lub bus, Karakol – Maida Adyr, najdłuższa podróż samochodem terenowym przez górskie drogi – koszt ok. 25 USD.
Dwie bazy helikopterowe: Karkara i Maida Adyr. Helikopter do Bazy na Inylczek Płn. lub Płd. w obie strony w 2006 roku kosztował ok. 400 USD.
Do bazy można też dotrzeć trekkingiem, najłatwiej i najszybciej z Maida Adyr, większość drogi po lodowcu (3-4 dni).

Do kosztów dochodzą jeszcze opłaty związane ze wspinaczką i przebywaniem w bazie, tj. za korzystanie z lin poręczowych, infrastruktury w bazie, opłata za tzw. „rescue team”. Wysokość tych opłat ustala się indywidualnie. Na Inylczku Pd. bazy mają agencje Ak-Sai Travel i Tien Shan Travel. Natomiast na Inylczku Płn. Kan Tengri.

Pik Niepodległości

Najlepszy termin: lipiec i pierwsza połowa sierpnia.
Transport: Biszek – Osh – można skorzystać z transportu lokalnego, koszt ok. 500 somów. Autobus czeka, aż wypełni się wszystkie miejsca. Osh – Ługowa Polana – koszt ok. 25 USD w jedną stronę.
W bazie należy liczyć się z opłatami za rozstawienie namiotu. Brak opłat za zdobywanie szczytu oraz za korzystania z poręczówek.

Pik Korzeniewskiej i Pik Samani

Najlepszy termin: od połowy lipca do końca sierpnia.
Transport: Duszanbe – Djirgital – koszt około 25 USD; Djirgital – baza Moskwa – transport helikopterem w dwie strony 600 USD. Do bazy można też dotrzeć trekkingiem, jednak jest on trudny orientacyjnie i wymaga przejścia przez wysokie przełęcze. Czas trwania około 5 dni. Pozwolenie za zdobywanie szczytu: 100 USD.
Drobne opłaty: np. opłata ekologiczna 1 USD za dzień w bazie.
Baza jest świetnie położona nad jeziorkiem lodowcowym. Dokoła rośnie trawa, a infrastruktura bazy to budynki zbudowane na stałe, a nie jedynie sezonowe namioty. Jest ona zarządzana przez agencję Alp-Mashkov.

TIEN SZAN

Nazywany jest również „Niebiańskimi Górami”. Łańcuch górski w Azji Środkowej, położony na terytorium Kirgistanu, Kazachstanu i Chin. Jego długość to ok. 2500 km, a zbudowany jest ze skał krystalicznych (granity), metamorficznych (gnejsy, marmury) i osadowych (piaskowce, wapień, łupki).

Najdłuższy lodowiec: Inylczek Płd. długość 61 km, powierzchnia 567 km². Łańcuch ten jest naturalną barierą dla mas powietrza pomiędzy Syberią a centralną Azją. Jest najbardziej na północ położonym spiętrzeniem, sięgającym wysokości 7000 m. Góry te są oddalone o 2400 km od najbliższego morza. Z tego powodu panują tam szczególnie trudne warunki pogodowe i skrajnie niskie temperatury, połączone z częstymi zmianami aury.

Chan Tengri 7010 (6995) m

Położenie geograficzne: 42st 12'39"N, 80st 10'30"E.
Jego nazwa w języku ujgarskim oznacza „Pana Niebios” lub „Pana Dusz”. Inne nazwy szczytu to: Khan Tangiri Shyngy, Kan-Too Chokusu, Khan Tengri. Jego wysokość z pokrywą śnieżną i lodową wynosi 7010 m, natomiast bez niej 6995 m, pomimo tego jest zaliczany do siedmiotysięczników. Położony jest w zachodniej części gór Tien Szan, na granicy Kazachstanu i Kirgistanu, pomiędzy lodowcami Inylczek Północny i Południowy. Jest najbardziej na północ położonym siedmiotysięcznikiem na świecie. Pierwsze wzmianki o tej górze znaleziono w zapisach chińskiego mnicha z VII wieku. Pierwszego wejścia dokonał w 1931 roku Ukraińiec Michaił Pobrebecki. W lutym 1992 roku zespół W. Kriżczatego dokonał pierwszego i jak dotąd jedyne wejścia zimowego.

Jest uważany za jeden z najpiękniejszych, ale też za jeden z najbardziej surowych i zimnych szczytów na Ziemi. Góra zbudowana jest m.in. z marmuru, co powoduje, że wschodzące lub zachodzące słońce czyni ją zupełnie purpurową. Szczyt ten ze względu na

wygląd, trudności techniczne oraz ekstremalnie niskie temperatury nazywany jest często małym K2. Na wierzchołek prowadzą liczne drogi wspinaczkowe, jedną z najbardziej znanych jest *Marmurowe Żebro*. Jednak najtrudniejsze drogi na ten szczyt prowadzą ścianą północną o wysokości 3000 m.

Pik Pobiedy 7439 m

Położenie geograficzne: 42st 02'6"N, 80st 07'32"E.
Jej nazwa w języku polskim to Góra Zwycięstwa. Obecna nazwa kirgiska: Jengish Chokusu, nazwa chińska: Shengli Feng. Do 1943 roku nosiła nazwę Pik Dwudziestolecia Komsomolu, a następnie do 1992 roku Pik Pobiedy. Obecnie nosi nazwę kirgiską i chińską, jednak nadal funkcjonuje jako Góra Zwycięstwa. Najwyższy szczyt pasma górskiego Tien Szan. Położony na granicy Kirgistanu i Chin. Pierwszym zdobywcą była w 1956 roku ekspedycja rosyjska kierowana przez Wacława Abalakowa. W 1995 roku pierwszego polskiego wejścia dokonał zespół Zbigniew Trzmiel i Andrzej Dutkiewicz. W 2002 roku sukcesem zakończył się samotny atak Marcina Kaczana. Kolejnego wejścia dokonali w 2004 roku Marcin Miotk i Jacek Teler. 18 sierpnia 2006 roku na szczycie stanął szósty Polak – Marcin Hennig. W 2005 roku dokonano pierwszego trawersu Piku Pobiedy, wchodząc na wierzchołek zachodni i dalej przez główny do wschodniego. Długość tej grani wynosi ok. 7 km i jest położona na wysokości ponad 7000. m n.p.m. Do tej pory nie zdobyto tej góry, wspinając się od strony południowej (chińskiej).

„... Nie gawarzą mienia, szto ty był na Ewerestje, skarży mienia szto ty był na Pobiedu...”

Oto motto, które oddaje znaczenie tej góry dla wspinaczy ze Wschodu. Wejście na nią jest bardziej cenione niż zdobycie wielu innych ośmiotysięczników, w tym na samego Mount Everestu.

PAMIR

Łańcuch górski w Azji Środkowej, położony na terytorium Kirgistanu, Tadżykistanu, Afganistanu i Chin. Nazywany jest często „Dachem Świata”, ponieważ zbiegają się tu najwyższe na świecie łańcuchy górskie: z południowego wschodu Karakorum i Himalaje, ze wschodu Kun Lun, z północnego wschodu Tien Szan, z południowego zachodu Hindukusz. Jego powierzchnia wynosi około 100 000 km². Zbudowany jest ze skał krystalicznych (granity), metamorficznych (gnejsy, łupki krystaliczne, marmury) i osadowych (zlepienie, piaskowce, wapień i inne).

Pik Korzeniewskiej 7105 m

Położenie geograficzne: 39st 03'20"N, 72st 01'26"E.
Trzeci pod względem wysokości siedmiotysięcznik pasma górskiego Pamir. W języku tubylców nazywany jest Kul-Santalak. Leży w sąsiedztwie Piku Komunizmu na terenie Tadżykistanu. Jego odkrywcą był w 1910 roku rosyjski geograf N. Korzeniewskiego, który nazwał szczyt imieniem swojej żony Eugenii. Pierwszego wejścia na Pik Eugenii Korzeniewskiej dokonał w 1953 roku A. Ugarow (od północnego zachodu z doliny rzeki Muksu). Pierwsze wejście zimowe miało miejsce w 1986 roku i było dziełem zespołu rosyjskiego.

Pik Samani (Kommunizma) 7495 m

Położenie geograficzne: 38st 55'N, 72st 01'E.
Położony na terytorium Tadżykistanu. Jest najwyższym szczytem Pamiru, a także najwyższym szczytem byłego ZSRR. Początkowo nosił nazwę Piku Stalina, ale w 1962 roku zmieniono ją na Pik Komunizmu. Po rozpadzie ZSRR otrzymał nową nazwę, pochodzącą od nazwiska założyciela państwa Tadżykistanu, Ismaila Samani. W języku okolicznych mieszkańców nosi nazwę „Uz Tergi” co oznacza „Zawrót Głowy”. Szczyt został odkryty

w 1932 roku przez tadżycką ekspedycję prowadzoną przez N. Gorbunowa. W 1933 roku rosyjsko-tadżycka wyprawa prowadzona przez Jewgienija Abalakowa dokonała pierwszego wejścia na szczyt wschodnią granicą. Cechą wyjątkową Piku Somoni jest olbrzymie Pamirskie Plato. To wypłaszczenie położone na północnej stronie góry na wysokości do 6200 m, o długości sięgającej 11 km i szerokości do 3 km. Na wierzchołek prowadzi obecnie ok. 30 dróg wspinaczkowych. Najtrudniejsze z nich prowadzi od strony lodowca Bieliajewa od strony południowej.

Pik Niepodległości (Lenina) 7134 m

Położenie geograficzne: 39st 20'N, 72st 55'E.
Pierwotnie nazwany Mount Kaufmann, nazwę zmieniono w 1928 roku na Pik Lenina. W 2006 roku ponownie dokonano zmiany nazwy góry na Pik Niepodległości. Położony w Pamirze Zaałtajskim, na granicy Kirgistanu i Tadżykistanu. Drugi pod względem wysokości szczyt Pamiru.
Został odkryty dla alpinistów w 1871 roku. Pierwsze badania regionu przeprowadzono w 1928 roku pod patronem Akademii Nauk ZSRR. To właśnie alpinistom niemieckim wchodzącym w skład tej ekspedycji jako pierwszym udało się zdobyć szczyt (E. Allwein, E. Schneider, K. Wien). Weszli na niego wschodnią granicą z Przełęczy Krylenki. Była to na tamte czasy najwyższa góra zdobyta przez człowieka. Wyczyn ten jednak nie został uznany przez Sowietów. Pierwsi Rosjanie zdobyli górę w 1934 roku. K. Czernucha, W. Abalakow i I. Lykin weszli na szczyt północną ścianą wzdłuż skał Lipkina. Pierwszego polskiego wejścia dokonał zespół E. Chrobak, R. Szafirski, A. Zyzak w 1967 roku. Szczyt ten został już parokrotnie zdobyty zimą. Na wierzchołek prowadzą liczne drogi wspinaczkowe. Góra technicznie nie należy do wymagających, dlatego też co roku szczyt ten jest atakowany przez wspinaczy, chcących zdobyć swój pierwszy siedmiotysięcznik.